

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

12)

Najdziwniejszym dla mnie jest ów wiatr peryodyczny, o którym wyżej wspomniałem. Szaleje on od czasu do czasu nad całym krajem, rozdziera niekiedy grunta w pasy, podobne do rozoranych żaglonów, a towarzyszące mu błyskawice zamieniają morze, niebo i ziemię w jakiś fantastyczny świat płomieni. Jest suchy i suszący. Wszystkie okna zamykają się przed nim wieczorem, chociaż i mustyki, kaleczące ciało ludzkie dotkliwie, usprawiedliwiają najzupełniej zastosoowanie tego środka ochrony przed natarczywością wiatru i komarów.

Nie spotkałem dotąd ani Collivera, ani Railtona. 31 grudnia. — Wilia nowego roku! Oby, najdroższa żono, zapowiedziała nam ona jutrzeńkę dni szczęśliwszych od tych, któreśmy przeżyli!

P. Eversleigh opowiadał mi mnóstwo ciekawych szczegółów o Wirchu Adama. W rzeczy samej przepiękna góra! Z trudnością przychodzi mi wyrazić głębokie wrażenie, jakie wywiera na mnie jej widok. Dłuższy czas wpatrywałem się w nią dzisiaj z odalenia. Wystarzała samotna, istna królowa, z pośród otaczających ją niższych regli. U jej stóp fałduje morze lasów zielonych, a wokół szczytu gromadzą się czarne chmury, przerywane kiedy niekiedy błyskawicami. P. Eversleigh mówił mi, jak wielką cześć religijną wyznawają dla niej mieszkańcy Ceylonu. Tysiące pielgrzymów, niemal nieustannie, depte jej skaliste zbocza cierpliwymi stopami.

Czy mogę spodziewać się, że wdzierając się na jej grzbiet, uwieńczyę zamysł mój powodzeniem? Czy pokładane w niej nadzieje tylu ludzi, których modlitwy stokroć świętszymi są od moich, nie spełzy nieraz na niczym?!... Kto wie?! Kto wie?!

W chwili, gdy to piszę, szczyt góry zdaje się uragać błyskawicom, rozdzierającym ciemny szafir nieba.

Noc i dzień o niej marzę. Stało się, że napęliła duszę moją lękiem i trwogą. Nie jestem w rzeczy samej ani onieśmielony, ani zniechęcony, lecz znoszę niecierpliwie niepojętą udrękę, myśląc, że czekam i czekam całymi dniami, patrząc na cel mojej pożyteczności, tak bliski mnie, a do którego jednakże dostać się nie mogę.

Spostrzegam teraz dopiero, że nic jeszcze nie napisałem o domu, w którym mieszkam obecnie. Położony jest na przedmieściu Kolpetty, w pośród ślicznego ogrodu. Zowie się „Bengalow niebieski“, od barwy, na którą go pomalowano.

Odbywamy dość często spaceru z p. Eversleigh, lecz w tym całym pięknym kraju nęci mnie tylko i zajmuje ów upragniony wielki wirch, dla którego tu przybyłem. Nie mogę bezczynności mojej znieść dłużej!

Colliver zniknął mi całkowicie z oczu. Od dnia wyładowania nie widziałem go ani razu.

25 stycznia 1849 roku. — W ciągu dni ostatnich, usposobienie moje nie pozwoliło mi wpisać czegośkolwiek do tego dziennika. Jutro nareszcie wyruszę w drogę ku Wirchowi Adama. W ostatniej chwili jakaś przeszkoda zatrzymuje mego gospodarza w domu, daje mi jednak za przewodników dwóch swoich służących. Z Colombo do stóp góry liczą tutaj mil sześćdziesiąt, więc mam nadzieję, że za dni cztery będę już panem tajemnicy. Obaj krajowcy, ochrzczeni przez pana Eversleigha imionami Piotra i Pawła — co łatwiejszym będzie dla mnie do spamiętania od ich nazwisk tuziemczych — jak mnie zapewniają, zasługują na ufność zupełną, kilkakrotnie już bowiem zwiedzali górę. Zabieramy z sobą, prócz koniecznych zapasów żywności, bardzo niewielką ilość bielizny do zmiany i strzelbę mego gospodarza. Nie jestem w stanie wyrazić mojej niecierpliwości.

1 lutego. — Powróciłem dziś z wycieczki do Wirchu Adama. Czuję zupełną pustkę w głowie. Nie wiem co ją wywołało: zmęczenie, czy wzruszenie. Pragnę pomimo to, o ile zdołam, najkrócej opisać tu całą przygodę.

Wczesnym rankiem opuściliśmy Colombo dnia 26 stycznia. W ciągu mniej więcej dwóch trzecich czasu, jaki potrzebowaliśmy zużyć na dotarcie do podróży gór, droga wila się ciągle nad wybrzeżem, w pośród błotnych pól ryżowych i nieskończone długich alei orzechów kokosowych, aż do Ratnapoora. Dopiero za Ratnapoora zdałem sobie sprawę z położenia i charakteru uroczego kraju. Stamtąd

kroczyliśmy już nieustannie wązkimi ścieżkami, które miejscami, z powodu ostatnich ulewnych deszczów, zdawały się niemal nie do przebycia, lecz Piotr i Paweł pracowali dzielnie, więc dzięki ich staraniom i zabiegom, skróciliśmy opóźnienie nasze do minimum. Zaraz prawie po opuszczeniu Ratnapoora weszliśmy odrazu w głąb rozległego lasu, o gęszczu, zasłaniającym niemal zupełnie światło dzienne. Z dwu stron zbiegały się tu dwa wąwozy, których dna nie można było dostrzedz, rosnące bowiem w nich olbrzymie drzewa zasłaniały je czarnym cieniem. Kiedy zaś wcisnęły się promienie słoneczne, miliony błyszczących owadów iskrzyły się niby drogocenne klejnoty, rozsypane szczerą dłonią. Tu przelatywały różnobarwne motyle; tam skrzydłowe tarcze chrząszczy i chrząszczyków połyskiwały farbą złotą albo rubinu; tam dalej znowu wązkie panny rozświetlały ciemnię traw i krzewów blaskami tęczyowych ogników.

Nad głowami naszymi krążyły, gładząc, tysiączne papugi zielone i wrzaskliwe kruki; tu i ówdzie dostrzedz mogliśmy rajskiego ptaka, roztaczającego w pośród liści jaskrawe pióra swego ogona. W najgłębszych gęszczach lasu rozlegało się echo pukania w korę tukanów, albo dzieciół zielonych, a kiedy niekiedy i głuchy pomruk słońca. Raz, pod wieczór, spłoszyliśmy lamparta, który spojrzawszy na nas płonąciami jak świeczki oczami, jednym susem potężnym skrył się wśród drzew i krzaków.

Od czasu do czasu ukazywały się nam ruiny starożytnych świątyń o wdzięcznej kolumnadzie, tonącej w ciemnej zieloności. Nawet ja, który nic nie wiem o minionej chwale Ceylonu, pogrążałem się w melancholicznej zadumie, gdy przechodziłem obok opuszczonych i zniszczonych gmachów, albo obok złamanej czy też wywróconej kolumny, dziś jedynego świadka przeszłości pogrzebanych oddawna pokoleń. Niejedną z nich zdobiła niegdyś bogata ornamentacja, lecz moc przyrody szybko zakryła dzieło rąk ludzkich. Gałązki convolvulusu, współzawodnicząc ze sławą dółt cierpliwych, upiększały je obecnie zwojami frendzlistych wieńców.

Wznosiliśmy się coraz wyżej i wyżej. Równina na dole rozciągała się pod stopami naszymi, niby wypukła karta geograficzna, gdy nad głowami, pod kopułą z szafiru, sterczał cel wszystkich moich nadziei, ciągle niewzruszony, pogodny i obojętny.

Postępowaliśmy żwawo.

Po opuszczeniu Ratnapoora, mineliśmy na drugi dzień rano liczny szereg pielgrzymów, przyodzianych w białe szaty. Następnie jedyną ludzką istotą, którą spotkaliliśmy, był biedny i stary kapłan, przebywający w zrujnowanym schronisku. W niem spożyliśmy około południa część naszych zapasów żywnościowych. Cień leśny pozwalał nam wędrować w czasie najsroźszego upału, a żądza, którą dyszałem, odkrycia co prędzej tajemniczego skarbu, sprawiała, że pędziłem naprzód niemal jak szalony, nie bacząc, że przewodnicy moi mogą zaprotestować przeciw tak gwałtownemu pochodowi. Lecz oba byli to ludzie siłni, dobrze zbudowani i znacznie łatwiej odemnie znoszący gorąco. To też zatrzymaliśmy się dopiero o zmierzchu na zielskim poroślej płaszczyźnie Diabetne, u podstawy stożkowego wirchu.

Spędziliśmy noc w zrujnowanym, tak zwanym *ambulam*.

Zmęczony straszliwie, lecz nie usposobiony do spania, leżałem kilka godzin na ziemi, patrząc w wyiskrzone gwiazdy, jakby wieńczące szczyt wspaniałej góry, strzelający swym ostrym cyplem w niezgłębioną przestrzeń ciemno niebieskiej, prawie czarnej tony; poczem, gdy ukazał się księżyc, zajaśniał wirch cudnym blaskiem. Mówiono mi nieraz, że blasku miesiąca w Ceylonie nie można porównywać z światłem księżycowem w jakimkolwiek innym kraju. Chętnie przyznaję słusność temu twierdzeniu.

W ciągu nocy odczytałem raz jeszcze z wielką łatwością rękopis mego ojca, pragnąłem bowiem, aby najdrobniejszy szczegół informacji nie uszedł mi z pamięci. Poczem opadłem na koce, które wzięliśmy w drogę — i zasnąłem snem przykrym i męczącym.

W godzinę, a może najwyżej w dwie potem, obudził mnie Piotr, mówiąc, że wielki czas ruszyć w drogę, jeśli chcemy widzieć z góry wschód słońca.

Gdyśmy przebiegali przestrzeń, oddzielającą nas od podnóża stożka, księżyc świecił ciągle. Prawie pod samą górą zagroził nam drogę dosyć głęboki wąwóz, a w nim strumień, którego wody, pod srebrnymi promieniami miesiąca, drgały niemal oślepiającą jasnością. Rozstrzeliwały się one następnie w ziarnisty deszcz perel, spadających rześście po niezliczonych stopniach skały. Stąd zaczęliśmy na nowo piąć się w górę. Szliśmy wązką ścieżką, która prawie co krok stawała się coraz bardziej pionowa.

Księżyc przestał nam przyświecać, zasłonięty przed oczami naszymi górkim szczytem, więc przewodnicy zapalili pochodnie, rzucające w ogromnie zwiększonych rozmiarach cienie naszych postaci na ściany skał. Po niejakiś czasie wązka ścieżka przeobraziła się w węższe jeszcze łożo wyschłego potoku. Teraz mogliśmy już tylko postępować idąc jeden za drugim. Piotr otwierał pochód, ja deptałem mu po piętach. Kiedy niekiedy stoczenie się kamienia, potraconego nieostrożnie nogą i krzyk Pawła, idącego za nami, zawiadamiał nas, że kawał skały zleciał do przepaści, nad brzegiem której kroczyliśmy w ciągłym prawie milczeniu. Prócz łoskotu, wywołanego usunięciem się gązdu i odgłosu naszych kroków, nie było nic słyhać. Gramoliliśmy się powoli, bo wędrowka i praca dni poprzednich wyczerpała nasze siły. Nareszcie — teraz znowu przy świetle miesiąca — wyszliśmy na skalistą płaszczyznę, położoną na wpół drogi, jaką jeszcze przebyć należało.

Silny i chłodny wiatr zmroził nasze spoczone ciała, więc nie odpocząwszy, niemal z radością ruszyliśmy dalej. Pod wpływem nocnego złudzenia wzroku, olbrzymia, osrebrzona promieniami księżycza zatoka, zdała się leżeć u stóp góry.

Po niejakiś czasie musieliśmy znowu zapalić pochodnie.

Pozostawiliśmy za sobą całą roślinność; przed nami wznosiła się pionowo skalista ściana, tworząca jedną część szczytu, rozlupanego tutaj na parę grzbietów. Piotr zatrzymał się i wskazał mi pierwszą seryę łańcuchów. Bez nich, tak osłabiony jak byłem, nie mógłbym się odważyć na dalsze wdzieranie się w górę. Nawet przy ich pomocy, mroki jakieś kiedy niekiedy zasłaniały mi oczy, a ile razy pochyliłem się nad przepaścią, zawrót ogarniał głowę. Lecz rozpaczywie ściskając przykute do skały łańcuchy w rękach, ciągnąłem się za Piotrem coraz wyżej.

Pamiętam, dzięki opowiadaniom p. Eversleigh, a przede wszystkim rękopisowi ojca, że za skałą z łańcuchami, na którą wdrapać się muszę, znajduje się kotlina z bogatą roślinnością, a w pośrodku drzewo o siedmiu pniach, które ma być dla mnie znakiem, wskazującym, gdzie zacząć należy poszukiwania. Mnie-małem jednak, że trudno mi będzie je rozpoznać przy drżącym świetle pochodni, nadającym wszystkim przedmiotom nadnaturalne kształty. Pomimo szalonego zmęczenia, wyteżyłem przeciw siły i wkrótce potem spuszczałem się już do wądołu, zapętlony znowu bujnem zadrzewieniem.

Gęstwina gaju składała się z rododendronów, osypanych mnóstwem czerwonych kwiatów. Nagle, na ścieżce gęszcz przerywającej, pośliznąłem się i upadłem. W jednej chwili obaj przewodnicy znaleźli się przy mnie i szybko podnieśli.

— Nic nie boli? — zapytał Piotr. — Tem lepiej! To szczęście, że pan nie upadł gdzieindziej, bo czeka nas jeszcze ciężka przeprawa przy drugiej seryi łańcuchów. Ale co się panu stało?

Mógł nie bez racji o to zapytać! Gdyż przed oczami moimi, w których prawdopodobnie malowały się wahanie, podziw i radość, wynurzał się z pod ziemi olbrzymi pień, rozdzielony na siedem konarów — tak! na siedem — łączących się następnie wyżej i ginących w zbitej masie ciemnego listowia. Było to drzewo mego ojca.

Dotąd pergamin nie kłamał.

Istotnie, było to to samo drzewo, bez wszelkiej możliwej pomyłki łatwe do poznania. Więc o trzydzieści dwa kroki od miejsca, na którym stałem, spoczywało rozwiązanie tajemnicy: gdzie znajduje się skarb pożądany, w poszukiwaniu którego odbyłem tak straszliwie nużącą wycieczkę. Lecz godzina, w której mam sięgnąć po nią, dotąd nie wybiła. Do zdobycia jej zabiorę się dopiero przy świetle dzienne, gdy będę sam... sam jeden. Trzeba czekać jeszcze czas jakiś!

Ukrywając wzruszenie, na które prawdopodobnie zwrócić musieli uwagę Piotr i Paweł, utrzymałem, jak tylko mogłem najdokładniej w moim umyśle położenie drzewa i wydałem rozkaz ruszenia w dalszy pochód.

Szliśmy, jak poprzednio, gęstego. Ja zaś, pragnąc być zupełnie pewnym, że powracając nie zmyłę drogi, liczyłem kroki. Doliczyl się do sześćdziesiąt dwudziestu — chociaż rachunek ten nie byłby ścisły, ze względu na panującą ciemność i wiatr, który wierzchnię ścieżki, gdyśmy stanęli na łańcuchach.

Uczułem silny ból w nodze, skiej. zdarłem skórę. Lecz gdybym wcale, to jednak ta część wdzierania się byłaby dla mnie najcięższą i najniebezpieczniejszą.

Otoczała nas ciemność zupełna, a wiatr, który o ile przez zasłonę gęstej mgły nie byłby tak silnym przeciwnikiem, teraz stał się dla nas jeszcze bardziej groźnym. W obcych